



You have downloaded a document from  
**RE-BUŚ**  
repository of the University of Silesia in Katowice

**Title:** Panu Andrzejowi Śnioszkowi odpowiedź na pytanie o styczność z zapomnianym dziś pisarzem Donatem Kirschem - też tarnogórzaninem i moim niemal rówieśnikiem

**Author:** Marek Piechota

**Citation style:** Piechota Marek. (2017). Panu Andrzejowi Śnioszkowi odpowiedź na pytanie o styczność z zapomnianym dziś pisarzem Donatem Kirschem - też tarnogórzaninem i moim niemal rówieśnikiem. "Śląskie Studia Polonistyczne" Nr 1 (2017), s. 355-368.



Uznanie autorstwa - Użycie niekomercyjne - Bez utworów zależnych Polska - Licencja ta zezwala na rozpowszechnianie, przedstawianie i wykonywanie utworu jedynie w celach niekomercyjnych oraz pod warunkiem zachowania go w oryginalnej postaci (nie tworzenia utworów zależnych).



UNIwersYTET ŚLĄSKI  
W KATOWICACH



Biblioteka  
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki  
i Szkolnictwa Wyższego

**Panu Andrzejowi Śnioszkowi odpowiedź na pytanie  
o styczność z zapomnianym dziś pisarzem Donatem Kirschem –  
też tarnogórzaninem i moim niemal rówieśnikiem**

Tak, zacznę chyba ot tak: właściwie mógłbym, a nawet powinienem, odpowiedzieć najuprzejmiej, najkrócej i w zgodzie z prawdą (a „Cóż to jest prawda?” – J 18,28), że nie mieliśmy chyba żadnej styczności, że nigdy w naszych Tarnowskich Górach nie spotkaliśmy się raczej, zatem nie mam Panu nic do powiedzenia i niczego z naszych ewentualnych spotkań chyba nie pamiętam. To ostatnie pospiesznie poczynione dopowiedzenie zadaje jednak kłam całemu wielokrotnie złożonemu zdaniu, bo coś niecoś poniekąd pamiętam, choć obawiam się, że wygeneruję tu więcej ostrożnych hipotez i nieśmiałych domysłów niż rzetelnych i autentycznych wspomnień. Otworzył Pan puszkę ze wspomnieniami wczesnego dzieciństwa.

Do obszerniejszej odpowiedzi skłaniają mnie co najmniej trzy niebłahe przyczyny: po pierwsze, pasja poznawcza, czystość intencji zadającego pytanie, która sama w sobie zasługuje na poważną odpowiedź oraz – po drugie – pewien z wielu względów trudny do spłacenia w trybie natychmiastowym dług, że nie przeczytałem dotąd *Liści Croatoan*<sup>1</sup>, debiutu powieściowego uhonorowanego w końcu lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku za najlepszy debiut prozatorski nagrodą Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich imienia Wilhelma Macha. Jak się zdaje, aby otrzymać tę nagrodę, trzeba było zachwycić przede wszystkim Henryka Berezę, krytyka z pokolenia naszych rodziców. Nawet nie rozwikłałem zna-

1 W Internecie widzę na okładce tytuł *Liście croatoan*, człon drugi małą literą. W tej chmurze (dez?)informacji bodaj równoważą się zapisy małą i wielką literą. Jeśli na stronie tytułowej będzie wielka litera, wolno snuć domysły o aluzji do losu osadników z wyspy Roanoke (dziś w stanie Karolina Południowa w USA), pierwszej angielskiej osady na terenie Ameryki Północnej z połowy XVI wieku. Wchłonęli ich, jak poprawnie i bezboleśnie się mówi: „zasymilowali”, względnie: wymordowali, Indianie z plemienia Kroatoanów. Widzę też zapis *Liście croatoanu*, ale trzeba to uznać za pomyłkę po porównaniu z okładką. Oczywiście, jeśli rzecz jest wyjaśniona w powieści, hipotezę o aluzyjności trzeba sobie darować. Z kolei może się okazać bezprzedmiotowa, jeśli już ktoś wcześniej tym się zajął w stanie badań. Pamiętajmy o refleksji Rainera Warninga: „Lekturę rozpoczyna się od tytułu. Tytuł wzbudza zainteresowanie. Niekiedy już sam tytuł udziela pierwszych wskazówek, od niego rozpoczyna się tworzenie świata powieści”. R. WARNING: *Opozycja i kazus – o roli czytelnika w powieści Diderota „Kubuś Fatalista i jego pan”*. Przeł. W. BIALIK. „Pamiętnik Literacki” 1976, z. 4, s. 343.

czenia drugiego członu tytułu, choć od początku byłem zachwycony rzadkim, powtórzoną dyftongiem, a więc dwudźwiękiem, złożeniem dwóch samogłosek, z których jedna nie jest zgłoskotwórcza. Byłem zaintrygowany, że nie rozumiem tego tytułu. Gdy usłyszałem o nagrodzie, nie miałem nawet pewności, że to dyftong. Uczestniczenie w spotkaniu autorskim mogłoby rozwiązać te wątpliwości. Zachwyciło mnie piękno niezrozumiałego i uważałem, że powinno przyciągać uwagę czytelników. Nie miałem też pojęcia, że rozprawę habilitacyjną poświęcę w przyszłości właśnie rozważaniom dotyczącym tytułów<sup>2</sup>. Po trzecie wreszcie, urzeka mnie optymizm młodego badacza, który „planuje większy tekst o zapomnianym dziś pisarzu”. Domyślam się, że będzie to dysertacja doktorska, i pochwalam zamysł. Ma też niewątpliwy urok prostoduszna wiara zadającego pytanie, że w kilkudziesięciotysięcznym mieście powiatowym (ten „prowincjonalny” akcent nie jest tu przypadkowy i przestrzegam przed jego lekceważeniem), w takim tłumie mogliśmy „mieć jakieś kontakty”. Trudno skwitować to krótkim: nie mieliśmy żadnych, skoro właściwie byliśmy niemal sąsiadami przez pierwszych blisko dziesięć lat życia małego Donata.

Przybyliśmy do Tarnowskich Gór chyba w tym samym 1953 roku także z Wrocławia<sup>3</sup>. Tata ukończył tam właśnie studia medyczne, dorabiał równocześnie w klinice przyuniwersyteckiej; otrzymał nawet propozycję pozostania w niej i robienia doktoratu, niestety w trybie wolontariatu, a przecież miał na utrzymaniu rodzinę z dwójką dzieci: czteroletnią córeczką Elżbietą i mną – dwulatkiem. Zatem „wybrał” nakaz pracy, kierujący go do Tarnowskich Gór. Przy jakiej ulicy mógł otrzymać mieszkanie lekarz ftyzjatra Władysław Piechota (subtelna czy przypadkowa zbieżność semantyczna)? Oczywiście przy ulicy Wojska Polskiego.

Państwo Kirschowie wprowadzili się prawdopodobnie do takiego samego mieszkania dwie klatki schodowe na południe, w sąsiednim bliźniaczym bloku, usytuowanym przy ulicy noszącej miano szlachetnego rewolucjonisty i socjalisty Stefana Okrzei<sup>4</sup>, powie-

2 Zob. M. PIECHOTA: *O tytułach dzieł literackich w pierwszej połowie XIX wieku*. Katowice 1992, ss. 133.

3 Aluduję tu do dwóch różnych miejsc urodzenia Donata pojawiających się w Internecie – jedni podają, że urodził się w Tarnowskich Górach w roku 1953, inni że w tym samym roku jednak we Wrocławiu, a do „miasta gwarków” przyjechał w 1954.

4 To nieprawdopodobny zbieg okoliczności: kilka godzin przed nadejściem e-maila z pytaniem o kontakty z Donatem w książce podsunętej mi przez żonę Małgorzatę do zawodowo niekoniecznej, wakacyjnej lektury czytałem, że także plastycznie wykształcony i uzdolniony ojciec Eryka Lipińskiego został w roku 1911 „oddelegowany do Nowego Sącza na stanowisko sekretarza partii [PPSD – M.P.]. I tu również był aktywnym organizatorem robotniczego życia kulturalnego. Między innymi dla sali teatralnej pierwszego w Galicji Domu Robotniczego namalował

szonemu przez rosyjskich zaborców w roku 1905 w wieku zaledwie lat dziewiętnastu na stokach warszawskiej Cytadeli. Był to wyrok za zdetonowanie bomby w komisariacie policji na Pradze, wskutek którego to zamachu kilku żandarmów zginęło, a kilku zostało rannych – wedle dzisiejszych miar niewątpliwie był to akt terroryzmu popełniony z przyczyn patriotycznych. Nazwisko państwa Kirschów harmonizowało brzmieniowo z Okrzeją, aczkolwiek nie przypuszczam, aby było to brane pod uwagę przez urzędników miejscowego kwaterunku.

Osiedle Mickiewicza, nazywane tak od ulicy biegnącej pomiędzy nim i jednostką wojskową, składało się (i nadal się składa, a raczej stoi, jak to dobrze, że się – po półwieczu z okładem – jeszcze nie „złożyło”) z kilkunastu, bodaj z osiemnastu dwupiętrowych, dwuklatkowych budynków krytych czterospadowym dachem z ceramicznych ciemnoczerwonych dachówek. Króciutka, na cztery bloki zaledwie, w tym dwa stojące bokiem do ulicy, uliczka Wojska Polskiego przebiega z zachodu na wschód, znacznie dłuższa, ale w obrębie osiedla należały do niej tylko trzy bloki, w tym nasz wyłącznie ze ścianą boczną, Okrzei przebiega z północy na południe. Za osiedlem na północ był stadion „Kolejarza” ze sporymi terenami rekreacyjnymi, zrazu niezagospodarowanymi, za drucianą siatką ogrodzenia. Od wschodu mieliśmy jednostkę Wojska Polskiego, niekiedy wyjeżdżały z niej z charakterystycznym chrzęstem na brukowej kostce ulicy Kościuszki niewielkie czołgi, coraz rzadziej jednak, z czasem stała się wyłącznie jednostką Ochrony Kolei; w latach licealnych korzystaliśmy z sali sportowej, graliśmy tam w piłkę ręczną. Od zachodu było pole uprawne i spory ogródek działkowy, bardziej na południe, naprzeciw domu Donata, z drewnianym płotem osadzonym na ceglanych słupkach – cegły niewątpliwie jeszcze „zagrają” w tym wspomnieniu. W głębi ku zachodowi znajdowała się kilkumetrowej wysokości górka, rozległa, dość stroma – zjeżdżaliśmy z niej zimą na łyżwach i sankach, nart w okolicy nie miał bodaj nikt. Prawdziwy sport ekstremalny na miarę naszego dzieciństwa to było dopiero zjeżdżanie na łyżwach ze znacznie bardziej stromych górki pomiędzy drzewami w Parku Miejskim, przy ulicy 22 Lipca (dziś Kardynała Stefana Wyszyńskiego).

Latem najczęściej grywaliśmy w dwa ognie. Było bardzo niewiele piątek, pojawiły się w naszym pokoleniu dopiero w okresie około pierwszokomunistycznym. Nie mieliśmy pojęcia o *gender* i „matką” równie dobrze mógł być chłopak, nikomu to nie przeszkadzało. Czy Donat dobrze grał w dwa ognie? Widzę go raczej jako robiącego

kurtynę. Na tle antycznego portyku wyobrażeni byli wybitni działacze socjalistyczni: Marks, Engels, Lasalle, Libknecht, Limanowski, Waryński, Daszyński i Okrzeja”. E. LIPIŃSKI: *Pamiętniki*. Warszawa 2016, s. 35–36. Tak Okrzeja ponownie zakorzenił się i okrzepł w mojej pamięci w ciągu kilku godzin.

świetne uniki, wydaje mi się, że chętniej podawał do „matki”, niż sam zbijał... Linie boiska malowaliśmy resztkami w miarę miękkich cegieł, pozostałościami z budowy osiedla. Te resztki służyły także do kreślenia linii do gry w klasy i w chłopa. Nie wiem, z jakiego powodu znacznie częściej grywaliśmy na Okrzei niż na Wojska Polskiego.

Do gry w podział świata na sporych jeszcze wówczas resztkach świata bez asfaltu i betonu potrzebny był patyk i nóż lub scyzoryk. Można było grać z dziewczynami, chłopcy we własnym towarzystwie częściej grali w *pikuty* albo w *kiepki* – zużytą piłką do tenisa lub palanta. Największą jednak namiętnością była gra w *piny*, ale o tym później. Z resztek cegieł „rzeźbiliśmy”, pocierając o asfalt ulicy i w miarę ostry kant betonowego krawężnika, mniejsze i większe serca podobne do pierniczków lub poduszeczek na igły, względnie szpilki (nie słyszeliśmy też jeszcze o nieobyczajach voodoo), które przynosiliśmy swoim mamom i siostram – Donat chyba tylko mamie, bo przecież nie miał siostry. Mączką w kolorze naszych serc posypywano korty tenisowe w Parku Miejskim.

Dzieci było wówczas znacznie więcej niż dzisiaj. W naszej klatce schodowej na parterze<sup>5</sup> byliśmy: moja siostra Ela i ja, na pierwszym piętrze Jurek i Mirka, na drugim – Tadzik, bliźniaczki Ania i Hania oraz Czarek. Po lewej stronie klatki było chyba jeszcze więcej dzieci, ale nie pamiętam żadnego imienia poza Marzenką. (Po tej stronie, przypominam sobie, mieszkał też późniejszy – już po naszym wyprowadzeniu się z Osiedla Mickiewicza – dyrektor Liceum Ogólnokształcącego im. Stefanii Sempołowskiej, fizyk Zbigniew Chrzanowski). W następnej klatce: Józek, Bartek, Andrzej, przelotnie Elza (od Elżbiety, ale ona była tylko „na próbę”, z domu dziecka).

W klatce pierwszej na Okrzei mieszkała Jola (chodziła do tej samej klasy, co moja siostra, stąd wymienianie się zeszytami w okresach chorób dziecięcych nie sprawiało kłopotu), jej bracia Andrzej (starszy) i Marek (młodszy). Na początku lat sześćdziesiątych mieliśmy jako pierwsi w okolicy telewizor, talon uprawniający do zakupu tej nowinki cywilizacyjnej rodzice otrzymali od wujka Stefka, dyrektora technicznego Huty „Zygmunt” w Łagiewnikach; przychodziły do nas co środę niemal wszystkie dzieciaki z najbliższych klatek, by oglądać kreskówki Disneya, *Klub Myszki Miki*. Czy Donat też przychodził? – nie pamiętam, może też w miarę szybko u państwa Kirschów pojawił się telewizor? Widzę jednak teraz, że tylko Andrzej i Donat nie mieli zdrobnień swoich imion, Andrzejów było kilku – Donat jeden jedyń... Jeszcze słyszę wołanie: „Tata Donata! Tata

5 Parter miał dla nas tę znakomitą dogodność, że ze względu na niewielki gzymsik biegnący dookoła budynku na poziomie piwnicznego stropu mogliśmy wchodzić i wychodzić z domu nie tylko przez drzwi, ale także przez uchylone okna. Wychodzenie było nieco bardziej ryzykowne i kończyło się niekiedy zadrapaniem kolan.

Donata!” – skandowane radośnie przez kierdelek najmłodszych łobuziaków, gdy rodzic przyszedł do domu wracając z pracy. To też dowód na to, że obaj dorastaliśmy w środowisku samorodnie rymotwórczym. Andrzej (brat Joli) pięknie i kolorowo, chociaż telewizor był czarno-biały, kopiował postacie Disneya: Myszkę Miki, Psa Pluto, Kaczora Donalda, Goofiego – po maturze studiował architekturę na Politechnice Śląskiej w Gliwicach.

W okolicach około pierwszokomunistycznych pojawiały się też pierwsze rowery. Donat musiał dość wcześnie dostać swój, bo nie słyshałem, by kiedykolwiek prosił: *dej sie karnonć*. Przywołuję gwarę, bo *na placu się godało*, szkoła zaś dość bezwzględnie tępiła śląszczyznę, w czym na naszym terenie zgodnie rywalizowali o palmę pierwszeństwa nauczyciele z centralnej Polski z repatriantami spod Lwowa (nikt z nas nie odważyłby się wtedy nawet pomyśleć, że to *gorole*). Chyba tylko na lekcjach wychowania fizycznego i może jeszcze na zbiórkach harcerskich nie obowiązywała ta swoista cenzura i wszyscy używaliśmy gwary, w różnym zresztą zakresie, bez wstydu i lęku; zapamiętałem z tej „lekcji”, że emocje najszybciej wyraża się w języku swojej małej ojczyzny.

Wzdłuż płotu z drucianej siatki przymocowanej dość niedbale do betonowych słupków dookoła stadionu „Kolejarza” od strony południowej rosły stosunkowo młode jasne topole (topola biała, białodrzew, *Populus alba*); na wschodnim krańcu terenów stadionowych – od strony jednostki wojskowej (jednej z dwóch stacjonujących w naszym mieście) rosły niebotyczne i absolutnie niedostępne dla nas włoskie topole (sokora, *Populus nigra*), wystrzeliwały w niebo jak włoskie cyprysy – wąskie w talii... Za to po rozłożystych topolach śmigaliśmy jak, nie przymierzając, lemury z *Gorącej wsi Ambinani-telo*, w której się zaczytywaliśmy; mieliśmy jeszcze w domu Arkadego Fiedlera *Kanadę pachnącą żywicą i Ryby śpiewającą w Ukajali*<sup>6</sup>. Na pierwsze konary tych topól wspinaliśmy się, wykorzystując oczka drucianej siatki płotu okalającego te tereny sportowe (pamiętam, że kiedyś odbywała się tam jakaś lokalna, bo przecież nie światowa uniwersjada, na którą przyjechał grający w koszykówkę kuzyn Aleksy, studiujący wówczas na AGH w Krakowie, której tuż po wojnie rektorem był właśnie wujek Stefek, tejeże uczelni absolwent). Donat jako młodszy i szczuplejszy wspinał się na rozłożyste topole znacznie zręczniejszy i wyżej niż inni.

Te zabawy nadrzewne odbywały się naprzeciwko klatki, w której mieszkał Gwidon Gaj, redaktor Ośrodka TVP w Katowicach

6 Oglądaliśmy z moją Małgorzatą i córą Aleksandrą po latach dom Arkadego Fiedlera w Puszczykowie pod Poznaniem, a w nim całą ścianę z książkami, także z tymi wydaniem, które nam przypadły podczas jednej z większych burz lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Zalało nam sporą część księgozbioru przechowywanego w piwnicy w kartonach, zanim dorobiliśmy się pierwszych półek.

(dokładniej w Bytkowie<sup>7</sup>), ojciec dwóch chłopaków, których imion już nie pamiętam, właściciel pierwszego na osiedlu mikrusa. To był prawdziwy spektakl, gdy ten niemal dwumetrowiec składał się, jak wspomniany wcześniej szczyryk, by zająć miejsce za kierownicą czegoś, co ówczesna definicja określała mniej więcej tak: „pojazd mechaniczny, którym klasa robotnicza porusza się za pośrednictwem swych demokratycznie wybranych przedstawicieli”. Samochody też były na talony.

„Byliśmy niemal sąsiadami” – samo słowo „sąsiedzi” nie ma w ostatnich latach najlepszej konotacji... Już chyba lepiej zabrzmiałoby: „Niemał byliśmy sąsiadami”, ale bodaj najtrafniej oddaje nasze relacje, a raczej ich szczupłość, może nawet brak, a w każdym razie brak pamięci o nich, wyrażenie: mieszkaliśmy dość blisko siebie, jednak nie na tyle, aby się zaprzyjaźnić, bliżej zakolegować, wspólnie i często bawić, cokolwiek poważniejszego razem przedsięwziąć, nawet jeśli graliśmy w piny. Gra polegała na odbijaniu starannie dobranej z własnego zbioru monety od ceglanego muru i maksymalnym zbliżeniu się do jednej z monet poprzednich graczy. Do gry używaliśmy niekiedy doprawdy niezwykle egzotycznych drobiazków (był to bilon mniejszy i większy, lżejszy i cięższy), tylko okrągłych, niekiedy z dziurką w środku. Prostokątne, kwadratowe służyły wyłącznie do wymiany. Pochodziły z całego niemal świata – efekt wojennej i powojennej migracji ludów – i chyba nie miały większej wartości muzealnej. Graliśmy monetami obcych państw, bo nie wypadało, żeby nasze godło (z koroną lub bez) ryło dziobem w pyle podwórka. Młodociany patriotyzm miał swoje zasady, których nie przekraczaliśmy.

Na marginesie, nie mogę się oprzeć refleksji, że jestem tu raczej świadkiem miejsca i czasu, nie Osoby interesującej piszącego doktorat. Widzę też pewne niebezpieczeństwo w tym, że mogę – odpominając sobie rzeczy, o których nie myślałem przez pięć, sześć dziesiątków lat – dowiedzieć się czegoś o sobie i naszym pokoleniu.

Przed otynkowaniem naszych bloków cegieł mieliśmy pod dostatkiem, po otynkowaniu zostały nam już tylko słupki z parkanu przy działce przed blokiem Donata. Odległości pomiędzy monetami mierzyliśmy, rozstawiając palce dłoni, dlatego różnica wieku grających nie mogła być zbyt duża, starsi byłiby zbyt uprzywilejowani; zaczynało się liczyć od kciuka i palca serdecznego, po odległość szczeliny,

7 Nie mogłem wówczas przypuszczać, że w roku 1998 w tymże Bytkowie będę z kolegą prof. Jackiem Lyszczyną jurorem w teleturnieju dla licealistów z wiedzy o Mickiewiczu (w 200. rocznicę urodzin Poety); że cztery lata później będzie ze mną przeprowadzał wywiad kierujący przelotnie tym ośrodkiem kol. Jasiak Matuszyński (podobnie jak Jacek z tego samego, naszego roku polonistyki UŚ), głównie zresztą z tego powodu, że współpracowałem przez kilkanaście lat z Kabaretem Olgi Lipińskiej.

którą dało się zasłonić samym kciukiem<sup>8</sup>. W jeszcze wyższej cenie było dotknięcie monety poprzednika lub nasunięcie się na nią bodaj we fragmencie jak podczas częściowego zaćmienia Słońca. Celem było maksymalne zbliżenie do monety jednego z przeciwników, grało się „na siebie”, przeciwko wszystkim pozostałym. Zbliżenie... Widzę teraz, że byliśmy radośnie dziecinni i w naszych słowach nie czytaliśmy jeszcze żadnych kontekstów erotycznych czy prokreacyjnych. Nie powinno się też tu stosować, jak sądzę, żadnych ponowoczesnych narzędzi w rodzaju filozofii Spotkania, teorii Dialogu, chęci porozumienia się z Obcym i nie ma w tym niczego z tak zwanej postprawdy, która zrobiła w roku 2016 oszałamiającą karierę w naszym ponownie się faszyzującym postświecie. Milionom naiwnych wydaje się, że tym razem jednak chodzi o coś zupełnie innego niż o władzę i eksterminację najbardziej inteligentnych, a przecież postprawda to tylko ordynarnie zafalszowany eufemizm zastępujący pod pozorami poprawności politycznej „prawdę alternatywną”, czyli stare dobre kłamstwo. Czy gdzieś jeszcze tli się nadzieja, że w rozwoju cywilizacji chodzi jednak o coś więcej niż tylko o realizację kolejnego wariantu *Gry o tron*? Wróćmy jednak do naszych zabaw bilonem; oczywiście, szanse kolejnego gracza na przykrycie, bodaj częściowe, monety poprzednika rosły znacznie, gdy jego moneta trafiła do naturalnego dołka (to jedyne podobieństwo, bardzo odległe, do golfa dla ubogich), jednak nigdy nie byłem świadkiem całkowitego nasunięcia się monet na siebie. Wyobrażam sobie, że opowieściom o tym wydarzeniu nie byłoby końca, a szczęśliwy gracz przeszedłby do legendy.

Niemal całkowite zaćmienie Słońca obserwowaliśmy w drugiej lub trzeciej klasie na szkolnym podwórku. Praktyczną lekcję astronomii poprzedził wykład wybitnego specjalisty z zakresu rolniczej przydatności gleb Polski, taty naszego kolegi Damiana – Leonarda Langhamera (doktorat i habilitację obronił wiele lat później, zmarł w wieku lat 92 w 2015; zdążył jeszcze wziąć udział w publicznej obronie doktoratu swojej wnuczki w Uppsali – Europa stała się tak mała...). Najpierw narysował na tablicy Słońce, Księżyc i Ziemię, potem stożek cienia Księżyca, objaśnił nam całą „niebieską” mechanikę, a potem na podwórku, przez okopcone uprzednio nad świecą kawałki szybek, oglądaliśmy niezwykle spektakl – z podziwem i ze zrozumieniem.

<sup>8</sup> Mieliśmy w klasie kolegę Staszka, którego kciuk prawej ręki – wskutek nieostrożnego obchodzenia się z cegłą – był niemal dwukrotnie szerszy niż ten u lewej ręki. Przed grą zawsze odbywały się pertraktacje, uzgodnienia, że sam się zgadza z tym, iż nie będzie wykorzystywał swojego nieszczęścia jako przewagi. Przykrycie szczeliny między monetami kciukiem kwitowane było sędziowskim wyrokiem *duć!* Nie znalazłem tego słówka w żadnym słowniku gwary śląskiej, a to przecież było coś w rodzaju szlemika w brydżu.



Gdybyśmy tego nie widzieli na własne oczy, pewnie „inaczej” czytaliśmy później w liceum obowiązkową lekturę – *Faraona* Bolesława Prusa. Wydawało nam się, że jesteśmy co najmniej tak samo wykształceni jak arcykapłan Herhor stojący na wyniosłych murach „świątyni Ptaħ”, choć żaden z nas nie dopuszczał myśli, że kiedykolwiek i ktokolwiek mógłby ponownie dopuścić się aż tak cynicznej manipulacji, takiego nadużycia wiedzy w swoim środowisku, że mógłby wykorzystać astronomiczny spektakl lub inną kosmiczną katastrofę<sup>9</sup> do zdobycia władzy nad „ciemnym ludem”, skoro wszyscy o tym czytaliśmy, ale to tak nie działa. Dziś przejmujący władzę nie musi nawet zakładać „złotego ornatu i czapki Amenhotepa otoczonej królewskim wężem”:

chwilę później, gdzieś nad świątynią, rozległ się nadludzki głos:

– Odwracam oblicze moje od przekłętego ludu i niech na ziemię spadnie ciemność...

I stała się rzecz okropna: w miarę jak głos mówił, słońce traciło blask. A wraz z ostatnim słowem zrobiło się ciemno jak w nocy. Na niebie zaiskrzyły się gwiazdy, a zamiast słońca stał czarny krąg otoczony obrączką płomieni.

Niezmierny krzyk wydarł się ze stu tysięcy piersi. Szturmujący do bram rzucili belki, chłopcy upadli na ziemię...

– Oto nadszedł dzień sądu i śmierci!... – zawołał jęklivy głos w końcu ulicy.

– Bogowie!... litości... święty mężu, odwróć klęskę!... – zawołał tłum.

– Biada wojskom, które spełniają rozkazy bezbożnych naczelników!... – zawołał wielki głos ze świątyni. [...] Żadna przegrana bitwa nie skończyła się taką klęską<sup>10</sup>.

Czy Donat też oglądał ten niezwykły spektakl? Ten akapit jest jedną z największych moich porażek i rozczarowań. Zapamiętałem, że było to „całkowite zaćmienie Słońca”, ponownie oglądaliśmy je już rodzinnie w 1999, a jednak w Internecie jako poprzednie całkowite wymieniane jest to z 1954, i to obserwowane za ledwie na wschodnich rubieżach PRL-u. Chmura (dez?) informacji nie pomaga

<sup>9</sup> Gdy piszę ten tekst, w przerwie oglądam na jednym z portali śmierć gwiazdy o technicznej nazwie OH 231.8+04.2, przedstawianą jako spektakularny przykład zgonu gwiazdy o masie zbliżonej do naszego Słońca; przekształca się błyskawicznie – jak na astronomiczne cykle rozwojowe – z czerwonego olbrzyma w mgławicę regularnie planetarną (cokolwiek to oznacza). Na szczęście nie obserwujemy żadnego wykorzystania tego kosmicznego nieszczęścia do bieżącej polityki, w połowie lutego 2017 roku jesteśmy już dawno po wyborach Donalda Trumpa na 44. prezydenta Stanów Zjednoczonych i po objęciu przez niego realnej władzy.

<sup>10</sup> B. PRUS: *Faraon*. T. 2. Warszawa 1977, s. 348.

w ustaleniu daty owej szkolnej obserwacji. Przecież sobie tego nie wymyśliłem! Gdybym miał tak bujną wyobraźnię, też zostałem pisarzem. Jeśli znajdę kilka wolnych dni, z pewnością zajrzę do uczelnianej biblioteki zwanej CINIiBA i przejrzę starannie gazety z tamtych lat. To zaćmienie Słońca, lubo nie całkowite, jeśli już tak chcą astronomowie, nie mogło zostać doszczętnie wyretuszowane przez żadne służby specjalne.

Przebija to rozczarowanie jedynie zawód, jaki sprawiła mi kometa Halleya. Bardzo wcześnie, bo już w okolicach roku 1957, który otrzymał miano Międzynarodowego Roku Spokojnego Słońca, zamarzyłem o tym, aby dożyć do roku 1986, co sześciolatkowi wydawało się niemal niemożliwe. Miała się wtedy pojawić odwiedzająca nas krótkookresowa, bo co 75 lat zbliżająca się do Słońca Gwiazda Betlejemska (nie wiedziałem, że na ten pomysł wpadł już wcześniej wielki Giotto di Bondone – autor fresku *Pokłon trzech królów* w kaplicy dell’Arena w Padwie, ufundowanej w 1303 roku przez Enrica Scroveniego jako zadośćuczynienie za grzechy ojca Reginalda, bezwzględniego lichwiarza; Dante umieścił go w piekle swojej *Boskiej Komedii*), i rozświetlać swym ogonem bodaj jedną czwartą nieba przez kilka tygodni, miała być widzialna nawet w dzień. Kometa całkowicie zawiodła, była ledwie widoczna w lunetach i teleskopach, nawet nie widziałem jej warkocza<sup>11</sup>.

Myszę, że podstawową przepaścią, jaka nas wówczas dzieliła, była ta nieszczęsna różnica wieku: Donat był młodszy o dwa lata. Pozornie to tylko dwa roczniki szkolne, ale ja należałem do ostatniego rocznika kończącego siedmioklasową szkołę podstawową, Donat musiał już chodzić do szkoły ośmioklasowej, co czyniło na poziomie szkoły średniej aż trzyletni przedział między nami. Konsultowałem rzecz z kolegą Markiem (bratem Joli, który od prawie czterdziestu lat mieszka z rodziną w sąsiedniej klatce na naszym osiedlu Przyjaźń) – chłopcy z Okrzei chodzili do szkoły „Parkowej” (przy ulicy Wyspiańskiego), chłopcy z Wojska Polskiego do Szkoły Podstawowej nr 1 im. Jana III Sobieskiego (przy ulicy Sobieskiego). Obowiązywała wówczas dość rygorystyczna rejonizacja, więc nie spotkaliśmy się ani na zajęciach chóru szkolnego prowadzonego przez pana Franciszka Miodka (ojca prof. Jana Miodka), ani na zajęciach SKS-u (prowadzonych przez pana Rudka Piontką), ani w harcerstwie, jednak także nie na międzyszkolnym kółku szachowym czy

11 Zaglądam do albumowego wydawnictwa Eduarda Pitticha i Dušana Kilmančoka *Niebo na dłoni* i widzę na ilustracjach niewyraźną smugę światła za jasnym punktem zatytułowaną „Kometa Halleya. Zdjęcie wykonane 10 stycznia 1986 roku” oraz drugi obrazek „Przetworzony komputerowo obraz komety Halleya wykonany 9 listopada 1985 roku”, na którym wygląda raczej jak płonący w atmosferze niewielki meteor. E. PITTICH, D. KILMANČOK: *Niebo na dłoni*. Przeł. J.M. KREINER. Warszawa 1990, s. 116.

w modelarni w Domu Harcerza (kółkiem szachowym opiekował się także nie prof. Franciszek Miodek, do opiekuna modelarni zwracaliśmy się „druhu”, bo tego wymagał), ani podczas konkursów recytatorskich czy licznych akademii, ani podczas dorocznych „poходów gwarków”, ani wreszcie wśród młodszych ministrantów. Kończyliśmy jednak to samo Liceum Ogólnokształcące im. S. Staszica, do czego wypadnie jeszcze powrócić, ale i tam nie zanotowałem w pamięci żadnego spotkania z Donatem, który chodził zaledwie do klasy pierwszej, gdy ja byłem już w maturalnej, bo po nas - skutek wspomnianej reformy - był rocznik „pusty”, bez naboru.

W 1966 roku na przywołanym tu już stadionie „Kolejarza” z okazji Tysiąclecia Państwa Polskiego (Tysiąclecie Chrztu Polski obchodzono uroczystości w kościołach, imprezy oficjalne odbywały się na stadionach i placach defilad), po kilku miesiącach intensywnych prób zrazu w mniejszym gronie w salach gimnastycznych poszczególnych szkół, później już na murawie boiska usiłowaliśmy sprostac wyobrażeniom naszych kuratorów o tym, jakie figury gimnastyczne najbardziej spodobają się ich zawodowym i partyjnym przełożonym. Czy Donat mógł uczestniczyć w tym pokazie sprawności fizycznej młodego pokolenia, przyszłości narodu? Raczej musiał, ale go nie pamiętam, było nas chyba ponad tysiąc młodzieży obu płci. Pamiętam tylko naszą trójkę i jedną z figur: przyszła pani doktor medycyny Ewa Bień stawiała lewą stopą na prawym kolanie przyszłego księdza prałata Eugeniusza Bienka (proboszcza w Opatowicach), a prawą stopą na lewym kolanie piszącego to wspomnienie. Klęczeliśmy każdy na jednym kolanie, jak Zbyszko z Krzyżaków przed pasowaniem na rycerza, trzymaliśmy Ewę za ręce i drżeliśmy z emocji, żeby nam z tych kolan nie spadła, gdy w takt skocznej melodii - po tylu tygodniach ćwiczeń w miarę równo - wszystkie dziewczęta wyrzucały w górę (w niebo? w świetlaną przyszłość?) wolne już ręce i pozostawały na naszych kolanach bez asekuracji. Z kim ćwiczył w parze Donat? Jaką „karierę” zrobiła koleżanka, którą przez chwilę trzymał za rękę?

W roku 1963 jesienią wyprowadziliśmy się do centrum miasta, bliżej szkoły, do osmioklatkowego szeregowca przy ulicy Powstańców Śląskich na drugie piętro<sup>12</sup> (było jeszcze trzecie i czwarte), i teraz mieliśmy już trzy pokoje oraz ogromne podwórko, długie i wąskie, od południa odgródzone od prywatnych posesji wysokim ceglany murem. Nikt jednak nie grał tu w piny. Usiłowałem namówić do tej zabawy kolegę z klasy Piotra Tyczkę i jego młodszego brata Andrzeja<sup>13</sup>, którzy mieszkali w ostatniej od zachodu

<sup>12</sup> Tak definitywnie skończyło się wchodzenie i wychodzenie z domu przez okna.

<sup>13</sup> Piotr (geograf) zostanie po latach dyrektorem liceum w Radzionkowie, tego, do którego wcześniej chodziła moja żona, Andrzej (polonista) - dyrektorem Liceum im. Sempołowskiej, do którego chodziła moja siostra. Świątek prowincjonalny jest doprawdy niewielki.

klatce, jednak nic z tego nie wyszło. Wyprawiłem się więc na wiosnę następnego roku „na stare śmieci”, by zagrać w *piny*, wymienić kilka monet, jednak rzecz skończyła się całkowitą – tak teraz to widzę – kompromitacją. Młodzi chłopcy, w każdym razie młodsi ode mnie, ograli mnie, i to nawet zdecydowanie zbyt szybko. Podejrzewam, że był wśród nich i Donat, bo doprawdy, jak niegdyś mówiła młodzież, był „dobry w te klocki” (dzisiaj klocki zostały zdecydowanie wyparte przez ruchome obrazki na monitorach całej tej elektroproduktury). To chyba właśnie jemu zaproponowałem absolutnie niesportowo, przekraczając wszelkie granice dobrego obyczaju, gdy skończyły mi się monety, że je odkupię za kieszonkowe *uszporowane* (zaoszczędzone) chyba nawet z dwóch miesięcy, które zupełnie przypadkowo znalazło się w mojej kieszeni, bo przecież nie przewidywałem takiego obrotu spraw. Wsunęły mi się do ręki, jak Bilbowi, a później Frodowi Bagginsowi pierścień: „Jeden dla Władcy Ciemności na czarnym tronie / W Krainie Mordor, gdzie zaległy cienie, / Jeden, by wszystkimi rządzić, Jeden, by wszystkie odnaleźć, / Jeden, by wszystkie zgromadzić i w ciemności związać...”<sup>14</sup>. Nie mogłem tam już wracać. Heraklit miał rację. Tak rozstałem się z dzieciństwem. Z Donatem też.

Pojawialiśmy się w tych okolicach dość regularnie kilkanaście lat później z całą już moją własną rodziną, bo naprzeciwko naszego byłego już zachodniego okna wybudowano kolejne bloki i na rogu znajdowała się przychodnia, w której szczepiono nasze dzieci Olę i Pawełka. Okna już też nie było, bo w dużych pokojach po jednym zamurowano, aby – skoro „Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej” – obywatele mieszkańcy mieli gdzie wstawiać meblotki, a do nich cały ten dostatek.

Nic nie wskazywało na to, że mieszkałem w bezpośrednim pobliżu, niemal sąsiedztwie przyszłego pisarza, który miał rozbłysnąć – jak „łza znad planety” z wiersza *W Weronie* Cypriana Norwida – na nieboskłonie naszej prozy lat siedemdziesiątych. Przypomniałem sobie imię Donata i to, że mieszkaliśmy tak niedaleko od siebie, dopiero w roku 1977, gdy dotarła do mnie wiadomość o nagrodzie literackiej dla tarnogórzezanina. Imię Donat było na tyle rzadkie (i nietutejsze, nieautochtoniczne), że musiałem je zapamiętać. Nie wyprzedził Kirscha nawet na studiach polonistycznych majestatyczny średniowieczny Aelius Donatus Grammaticus – Kirsch był moim pierwszym spotkanym Donatem. Czytywałem wówczas dość regularnie: „Życie Literackie”, „Literaturę”, „Kulturę”, „Poezję”, „Dialog” i „Twórczość”, „Nowy Wyraz”. Zapewne w którymś z tych czasopism przeczytałem informację o nagrodzie dla Donata,

14 J.R.R. TOLKIEN: *Władca Pierścieni. Drużyna Pierścienia*. Przeł. M. SKIBNIEWSKA. Warszawa 2005, s. [5].

ale równie prawdopodobne jest to, że obwieścił mi tę wiadomość Jacek Markowiak, z którym przez czas jakiś jeździliśmy autobusami do i z Katowic (Jacek zrazu studiował, a później był asystentem na Wydziale RTV Uniwersytetu Śląskiego). Gdybym wówczas dojrzał w księgarni tę książkę, pewnie bym ją kupił, nawet z nagannego snobizmu, żeby mieć na własność coś, co dojrzewało kilkadziesiąt metrów od mego dzieciństwa, kilka przecznic od mojej młodości.

O Kirschu rozmawialiśmy raczej krótko, zapamiętałem, że Jacek od razu pozytywnie opiniował treść powieści jako scenariusz niemal gotowy do przeniesienia na ekran. Więcej uwagi poświęciliśmy na omawianie *Zniewolonego umysłu* Czesława Miłosza, oczywiście nielegalnie powielonego, który kończył czytać Jacek i miał mi go nawet pożyczyć, ale zdążył tylko mnie powiadomić, że Donat ze względu na kłopoty z wydaniem kolejnej książki wyemigrował na Zachód, po czym sam też udał się w tym kierunku. *Zniewolony umysł* czytałem dopiero w stanie wojennym podczas stażu przed doktoratem w bibliotece IBL PAN w Warszawie. Był w naszej Bibliotece Śląskiej, ale opatrzony czerwoną literką „R”, i gdyby nawet mi się udało zdobyć zezwolenie na lekturę, musiałbym pozostawić wyraźny ślad po tych staraniach włącznie z opinią promotora, że jest to konieczne do napisania doktoratu – nie mogłem tego wymagać od prof. dra hab. Zbigniewa Jerzego Nowaka.

Pora domknąć te wspomnienia pierwszą kłamrą metaliteracką, skoro tak się rzecz rozpoczęło. Niezależnie od tego, czy potraktujemy pisarza jako samorodny talent, „uprawiającego” w zasadniczo niewidoczny dla czytelnika sposób (przynajmniej na pierwszy rzut oka, bez specjalistycznych analiz) dziewiczy las tropikalny z całym bogactwem roślinności wszystkich jego pięter, czy też jako ogrodnika, który po uprzednim odbyciu z premedytacją zaprojektowanych studiów i starannym przemyśleniu strategii przystrzygania roślinek w wirydarzu pielęgnowanym wedle wcześniej ogłoszonego manifestu, musimy mieć świadomość, iż wszelka „chemia” (sztuczna czy naturalna) stosowana na tych arealach dzieje się w języku (językach). Nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości, że docieramy do świata i światopoglądów innych ludzi przez ich język(i). Zdał sobie z tego sprawę przed laty Ryszard Kapuściński, gdy pisał w opowieści *Podróże z Herodotem*:

Docierałem do Indii nie przez obrazy, dźwięki i zapachy, ale przez język, w dodatku język nie rodzimie hinduski, ale obcy, narzucony, na tyle jednak zadowolony, że był dla mnie kluczem niezbędnym, był tożsamy z tym krajem. Moje zapasy z Indiami to były w pierwszej rundzie zmagania z językiem. Pojąłem, że każdy świat ma swoją własną tajemnicę i że dostęp do niej jest tylko na drodze poznania języka. Bez

tego świat ów pozostanie dla nas nieprzenikniony i niepojęty, choćbyśmy spędzili w jego wnętrzu całe lata. Co więcej – zauważyłem związek między nazwaniem a istnieniem, bo stwierdzałem po powrocie do hotelu, że widziałem na mieście tylko to, co umiałem nazwać, że na przykład pamiętałem napotkaną akację, lecz już nie drzewo, które stało obok niej, ale którego nazwy nie znałem. Słowem, rozumiałem, że im więcej będę znał słów, tym bogatszy, pełniejszy i bardziej różnorodny świat otworzy się przede mną<sup>15</sup>.

Bez rozwikłania napisu na bramie debiutanckiego i epickiego ogrodu młodego tarnogórczanina (w roku otrzymania nagrody miał zaledwie dwadzieścia cztery lata) na progu lektury tej powieści jej tytuł generuje zagadkę o sensie synonimicznym z bezradnie brzmiącą frazą „te dziwne liście Donata Kirscha”. Czy będzie to „tajemniczy ogród”? Widmo nieuchronnej jak śmierć emerytury kładzie mi już dłoń na ramieniu, zatem zanosi się na niebywały przyrost wolnego czasu, może więc – wśród różnych innych zaległości – nadrobię i tę i przeczytam wreszcie *Liście Croatoan*?

Drugą domykającą ten szkic klamrę widziałbym tak: mieszkaliśmy tak blisko siebie, a jednak chyba o jedną klatkę za daleko (jak to brzmi: ludzie „za komuny” mieszkali w klatkach! – teraz zresztą też, choć coraz więcej budowanych na kredyt domostw indywidualnych). Widzę, że na internetowej stronie Liceum Ogólnokształcącego im. S. Staszica w Tarnowskich Górach wymieniają nas obu z Donatem wśród „wybitnych absolwentów”, zaraz po koledze prof. Janie Miodku, obok artysty malarza i projektanta witraży prof. Wernera Lubosa, chirurga prof. Józefa Dzielickiego, prawnika ks. prof. Remigiusza Sobańskiego; wśród pisarzy wymienia się jeszcze Bolesława Lubosza. W kategorii „najbardziej znanych absolwentów” naszego liceum – na innej stronie internetowej – obaj z Donatem zostaliśmy zgodnie pominięci.

By rzecz zakończyć definitywnie wpadającą w ucho pointą, dodam, że obaj rozmawialiśmy z Czesławem Miłoszem, tylko że, jak czytam w Internecie, Donat cztery razy, a ja tylko jeden raz, Donat w Ameryce, a ja w Katowicach, poniekąd na „własnym podwórku”<sup>16</sup>.

15 R. KAPUŚCIŃSKI: *Podróże z Herodotem*. Kraków 2004, s. 25–26. Szerzej ten fragment spożytkowałem w rozdziale 5. *Jeszcze o zmierzchu poliglotów i poliglotyzmu* książki M. ПЕЧОТА: *Poliglotyzm wielkich romantyków polskich (Mickiewicz, Słowacki, Krasiński)*. Katowice 2016, s. 160–161.

16 Rozmawialiśmy przy okazji nadania Josifowi Brodskiemu tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach 21 czerwca 1993 roku (Miłosz był jednym z recenzentów dorobku laureata) o *Historii literatury polskiej*, zwłaszcza o jej specyficznym amerykańskim adresacie, oraz o prozie życia wykładowcy University of Berkeley i noblisty jednak zarazem podwładnego aktualnej władzy rektora i dziekana wydziału. Po tej rozmowie pozostał mi ślad w postaci podpisu

Gdybym chciał ten tekst upublicznić w jakimś tabloidzie, pewnie bym go zatytułował: „Nie rozmawiałem z Czesławem Miłoszem o prozie Donata Kirscha”, i jestem pewny, że redakcja tegoż – „dla dobra nas wszystkich, bo ludzie mają prawo wiedzieć” – wycięłaby mi to inicjalne „Nie”. Zacząłem od TAK, a – ku własnemu zdziwieniu – kończę na NIE, choć równie dobrze ta odpowiedź na pytanie pana Andrzeja mogłaby przebiegać w kierunku odwrotnym.

Mistrza na tomiku *Księgi psalmów*, tłumaczył z hebrajskiego Czesław Miłosz, Éditions du Dialogue, Paris 1981 (prezent od siostry Elżbiety, egzemplarz przemycony do Polski w stanie wojennym).